

Beckett w Teatrze Małym

Flip i Flap na bezludnej wyspie

SAMUEL BECKETT urodził się w Wielki Piątek 1906 r., zmarł w 1989, w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia. Powiedział kiedyś, że jest optymistą, ponieważ jeden z dwu ukrzyżowanych wraz z Chrystusem łotrów został zbawiony, ale jednocześnie pesymistą — drugi łotr został potępiony. Podobną kwestię umieścił w „Czekając na Godota”, gdzie pełno jest aluzji i odniesień biblijnych. Polacy słabo znają Biblię, więc przeciętny widz raczej ich nie odczytuje. W przedstawieniu w Teatrze Małym, wyreżyserowanym przez Antoniego Libera, nie rozumie także wielu innych rzeczy.

„Czekanie na Godota” stało się potocznym porzekadłem, oznacza oczekiwanie wytrwale, choć daremne. Sztuka Becketta mówi, najogólniej biorąc, o czekaniu na Boga, o bezsensie życia, ale także o nadziei. Genialność Becketta polega między innymi na tym, że stworzył bardzo pojemną metaforę. Przedstawienie,

Studio grana jest „Ostatnia taśma Krappa” z Tadeuszem Lomnickim). Niestety, Libera stał się monopolistą Becketta, a monopol jest jeszcze bardziej szkodliwy niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie. W Teatrze Małym zaowocował spektakularną kląpą.

Libera chciał pokazać, że „Czekając na Godota” jest — wbrew utartym interpretacjom — komedia. Rzeczywiście, Vladimir i Estragon, czekający na zbawcę z dnia na dzień i z roku na rok, pod tym samym drzewem, mają rodowód chaplinowski. Druga para — Pozzo i prowadzony na powrozie Lucky — to pan i niewolnik, kat i ofiara. W sztuce wiele jest subtelności i wisielczego humoru. Libera wyreżyserował ją jako ubogi cyrk na dwu kłownów w rodzaju Flipa i Flapa, i tresurę zdychającego konia. Przedstawienie wypełniają mało zabawne pokrzykiwania, dreptanie w cyrkowym stylu, jest także markowana żonglerka kapeluszami. Na cyrk to zbyt mało, natomiast ulotnił się beckettowski liryzm, zatartł głęboki sens, którego wydobycie — by nie stało się bawalem — wymaga od reżysera żelaznej dyscypliny. Do tego scenografia Aleksandry Semonowicz jest zwyczajnie brzydka. Pod podobnym do gwoźdźcia drzewem nie sposób usiąść, a Gajos wygląda jakby wypadł na zakrecie z dylżan-su w „Klubie Pickwicka”.

Przeciętny widz, któremu nazwiska wykonawców gwarantują produkt najwyższej klasy, wyjdzie z Teatru Małego ostatecznie przekonany, że nie dla niego te Becketty.

IRENA MAŚLIŃSKA



Na zdjęciu: Krzysztof Kowalewski — Estragon i Wiesław Michnikowski — Vladimir

Fot. — Piotr Nowak

wystawione na kilka dni przed Świętym Zmarłych, mogłoby stać się u-scenicznionym traktatem filozoficznym o życiu i śmierci. Na kilka dni przed wyborami — diagnozą aktualnego stanu polskiego społeczeństwa — wbrew autorowi, oczywiście, ale tak się w teatrze zdarza. Nie stało się jednak niczym, choć na scenie oglądamy Janusza Gajosa, Jana Kobuszewskiego, Krzysztofa Kowalewskiego i Wiesława Michnikowskiego, aktorów tak znakomitych, że aż strach o nich pisać krytycznie.

Reżyser, Antoni Libera, poświęcił życie twórczości Becketta (przekłady, reżyseria sztuk, prace krytyczne), osobiście się z nim przyjaźnił, korespondował, nawet dostawał od niego paczki w stanie wojennym. Dotąd robił znakomite, precyzyjne przedstawienia beckettowskie, których wielkim atutem była maksymalna wierność autorowi (w Teatrze